Nr 43. We Lwowie dnia 25. października 1896. Rok 4.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).



głębi ciemnej jurty jakuckiej, na niskiej, drewnianej ławie, pod ścianą, naprzeciw ognia leżała chora kobieta Zajmowała najlepszy kącik w izbie, najsuchszy i najjaśniejszy, gdzie zwykle sypiają gospodarze domu. Otaczano ją taką troskliwością, na jaką tylko stać było mieszkańców jurty; zimne ściany nad jej pościelą zasłonięto białem futrem zajęczem, a samo posłanie ułożono niezwykle wysoko i miękko.

Ogień tlił się na kominku. Na tle brudnordzawego zmroku izby jasno odcinało się tylko białe łoże chorej i biała jej postać. W cieniu, na uboczu, głowę i ręce wysunąwszy na światło, siedziała na pieńku Jakutka i szyła obuwie. Miarowo szeleściły żylne nici, przeciągane przez skórę. Chora oddychała ciężko i głośno. W kącie, jak amor gołe, jakuckie pachole bawiło się z pięcioletnią dziewczynką po europejsku ubraną. Dzieci budowały coś z patyczków i rozmawiały przyciszonym głosem.

— Gospodyni... gos-po-siu!... — z trudnością przemówiła chora.

Jakutka z niechęcią położyła robotę i wstała poprawić ogień.

— Toch nado?

— Popatrz... wyjrzyj!... Nie gniewaj się, że tak często... ale boję się, że nie doczekam... Czy nie widać jeszcze?

Dzika pochyliła się nad chorą, i wpatrywała się w jej twarz wychudłą: starała się odgadnąć, co mówiła, po wyrazie oczu, po ruchu ust, gorączką spieczonych.

— Ach, nie rozumie... Co za męka!

— Toch?... Toch skazywaj... — pytała Jakutka.

Chora wskazała drzwi.

— Eng... eng!... — kiwnęła głową, poprawiła kołdrę i poduszki, które się osunęły i wyszła.

W jurcie zapanowała zupełna cisza; nawet dzieci umilkły i oczy na drzwi zwróciły. Chora leżała bez ruchu; głowa jej opadła na bok, oczy zamknęły się, długie rzęsy rzucały cień na zapadłe policzki. Płomień ogniska, porwany podmuchem przez otwarte drzwi wpadającego powietrza, buchnął jaśniej i jaskrawym blaskiem oblał białe futro na ścianie, fałdy i zagięcia pościeli i na poduszce rozsypane, gęste, złote włosy, niby nimbus otaczające twarz chorej. Na maleńkim stoliczku, tuż u wezgłowia połyskiwał złoty zegarek, stały szklanki, flakoniki i rozmaite podróżne drobiazgi.

— Zosiu, chodź tu... Gdzie jesteś?... — szepnęła chora..

Dziewczynka podniosła się, otrzepując sukienkę.

— Tu jestem, mamusiu.

Pobiegła do matki i położyła kędzierzawą główkę na jej poduszce. Mały Jakut wstał także i poszedł za nią; oparł się o krawędź pościeli i jął skubać koronkowe obszycie poszewek.

— Boli, mamusiu? bardzo boli?... — pytała dziewczynka, wpatrując się w twarz matki.

— Niema tatusia!... nie przyjeżdża... skarżyła się chora.

Skrzypnęły drzwi; na progu ukazała się Jakutka.

— Musi być oni... Nikt inny być nie może... Dwóch jedzie!... — krzyknęła radośnie — swegom poznała... Jeszcze daleko: z tamtej strony jeziora!

Chora poruszyła się gwałtownie i szeroko rozwarła duże, gorączkowo błyszczące oczy. Jakutka pojęła, że jej nie rozumieją i ruchami zaczęła objaśniać, pokazując na dłoni, jak stąpają konie.

— Jeden — mój chłop, dwa — twój chłop — powiedziała po rosyjsku.

— Jadą!... nareszcie!... Gosposiu, zabierz ot to... prędzej! — zawołała chora, pokazując rozrzucone rzeczy. Wzruszona podniosła się na posłaniu.

— Uczesz mię... Zosiu, daj grzebień... Umyj dziecko...

W jurcie zapanował ruch. Ale podróżni byli jeszcze daleko, więc kobiety zdążyły wszystko załatwić, nim oni przyjechali. Chora uczesana, w czystym białym kaftanika czekała długo i już ją siły opuszczać zaczęły, gdy na podwórzu zatętniały kopyta końskie, zabrzękły wędzidła, rozległ się szmer głosów i kroków ludzkich.

Drzwi rozwarły się szeroko i w kłębach mroźnego oparu ukazał się na progu wysoki mężczyzna. Stanął przy drzwiach i jął spiesznie szarpać rzemienne pętlice swojej podróżnej odzieży.

Jakutka dorzuciła drew na ogień.

Chora w skupieniu wpatrywała się w tę postać niezgrabną, od stóp do głów zaszytą w puszyste, śniegiem usypane futra.

Nareszcie kaptur, zakrywający twarz przybyłego, zsunął się na ramiona i drogie, dawno niewidziane oczy spojrzały na nią z wyrazem posępnej trwogi.

— Widzę cię więc... widzę!... — szepnęła, wyciągając ku niemu ramiona.

Reszta odzieży w jednej chwili znalazła się na podłodze i przybyły ukląkł przy łożu chorej.

— Ukochana!.: odważyłaś się więc!...

— Nie mogłam dłużej... nie mogłam, — szeptała, a łzy jak grad płynęły po jej twarzy.

— Dlaczego nie uprzedziłaś? przyjechałbym do miasta. Wyobrażam sobie, jak cię zmęczyła droga.

— Pisałam kilkakrotnie i z miasta i z drogi.. Widocznie nie otrzymujesz wszystkich listów... Spieszyłam się.. Tutaj, powiadają, nastanie wkrótce wiosenne bezdroże, a latem do ciebie dostać się niepodobna, chyba konno lub piechotą... Czy nie tak?... Oni tak mówili... W mieście zaczęłam chorować... Tam epidemja... dyfteryt... Bałam się o Zosię... Bałam się, że... ciebie mogę już nie zobaczyć...

Lekki rumieniec oblał jej przeźroczystą twarz, uśmiechnęła się i położyła kształtną, wychudłą rękę na kędzierzawej głowie męża. On zdjął tę rękę i przycisnął do piersi

— Cóż?... nie pytasz o córkę?... Zosiu, chodź... przywitaj się z ojcem.

Mężczyzna wstał i z pewnem zakłopotaniem powiódł wzrokiem dokoła. W kącie izby, wpośród gromady Jakutów stała jego dzieweczka. Spotkawszy się z wejrzeniem ojca, twarzyczkę odwróciła i cofnęła się w tył.

— Zosiu, nie bądź dzika! — rzekła matka.

— Chodź do mnie, córeczko — odezwał się ojciec.

Dziewczynka nie ruszyła się. Wówczas podszedł i chciał ją wziąć na ręce, ale dziecko z krzykiem odskoczyło od niego.

— Nie ruszaj mię — zawołało — Mamo, to nie tatuś... zupełnie niepodobny... Nie taki, jak na portrecie... Boję się!.. Ubranie brzydkie... Broda duża!... On obcy!... Jakut!...

Schwycił ją na ręce i począł całować. Dziewczynka płakała i wyrywała się; żeby ją uspokoić posadził na pościeli, przy matce.

— Nie dziw się, Olesiu, — rzekła chora — zmieniłeś się... I ja dostrzegam w tobie coś nieznanego...

— Czyż ta kruszyna może mię pamiętać? Nie miała przecie pół roku..

Przy boku matki dziewczynka powoli zaczęła odzyskiwać śmiałość. Na rzęsach błyszczały jeszcze łezki, ale twarzyczka wypogodziła się i wielkie, błękitne oczy zwróciły się na ojca z wyrazem badawczym, prawie wyzywającym.

— Istny portret mamuńci.

— Niezupełnie... Podbródek i czoło twoje, tylko oczy może....

— A czy grzeczna? czy posłuszna? — spytał Aleksander, pieszczotliwie biorąc dziecko za rękę i zamieniając z żoną znaczące spojrzenie.

— Dobra dziewczynka... Ubrania nie drze, nie brudzi; przy myciu nie płacze.... Prawda, Zosiu?... Mój Boże.. znowu....

I zaniosła się kaszlem głuchym, do jęku podobnym.

Aleksander zerwał się, ale nie wiedział, co robić. Dostrzegła to gospodyni, podbiegła, objęła wpół chorą i ostrożnie położyła jej rękę na piersiach. Atak był długi. Nareszcie ucichła i osłabiona upadła na poduszki. Twarz jej stała się woskowo bladą, na czoło wystąpiły duże krople potu, a w piersiach, konwulsyjnie dyszących, wrzało i skrzypiało. Aleksander blady stał obok z dzieckiem na ręku. Dzieweczka już się oswoiła i bawiła się puklami jego włosów. Chora otworzyła oczy, spostrzegła to i uśmiechnęła się blado.

— Nie bój się... To nic... Będę zdrową... zobaczysz... Byłoby zbyt okrutnie.. Będę zdrowa... wówczas, Olesiu, wszystko pójdzie, jak z płatka... Pisałeś, że masz domek... Czy i ogród?... Siadaj, opowiedz!... Domek, czy jurta?.. Czy duży?... Czy tylko jeden pokój?... Może trzeba będzie przerabiać?.. A czy masz obórkę?... krowę trzymasz?... Zobaczysz, jak ja prędko wyzdrowieję na świeżem powietrzu i mleku... Moje cierpienia w znacznej mierze spowodowane są zgryzotą i niepokojem... Wszak byłam silna, pamiętasz, i taka zdrowa!... O Boże!... za co mię karzesz!...

Znów kaszlać zaczęła. Aleksander ostrożnie podniósł ją i podtrzymywał. Tym razem atak był jeszcze silniejszy i trwał dłużej. Na końcu z flegmą buchnęła krew.

— Ratuj!... doktora... — jęczała chora, wpatrując się w męża gasnącym wzrokiem.

On milczał posępnie. Do miasta było trzy dni drogi. Żaden lekarz nie zgodziłby się jechać tak daleko na prywatne wezwanie.

— Albo wieź mię do siebie!...

Nie odpowiedział także. Było to również niepodobieństwem.

Jechać trzeba było przeszło 100 wiorst drogą złą i mało uczęszczaną. A w domu jeszcze gorzej, było niż tutaj. Ona nie wiedziała, nie domyślała się nawet, jak on żył, bo całej prawdy nigdy jej nie napisał. Tam, u niego zupełnie było pusto! Tutaj przynajmniej byli ludzie. Można było kupić masła, mleka, świeżej śmietanki.. Chora tem tylko żyła, zwilżając od czasu do czasu spieczone wargi.

Żona milczenie jego zrozumiała i domyśliła się wszystkiego.

— Nie trzeba, najdroższy... nie trzeba... Tak tylko powiedziałam. Czy ja wiem, gdzie dogodniej!... Do miasta — tydzień drogi, a za tydzień — umrę... W domu pewnie nie przygotowane... Nie pomyślałam... Cierpienie umysł mąci... Drogi bym nie zniosła... Po doktora któżby pojechał?... Ty?... Nie, ciebie ja nie puszczę... Ani na chwilę nie puszczę... Dość długo... Tyś mój... teraz wyłącznie mój... Wszak prawda?... Tyś tu nikogo nie kochał?... — pytała przyciszonym głosem.

On rękę jej tulił do piersi i odwracał oczy — napełnione łzami.

— Ty płaczesz?... Myślisz, że niema nadziei?... A więc niech się stanie, co się stać ma... wcześniej, czy później... Nie żałuję, żem przyjechała... Czułam, że koniec blisko... Ach, gdyby rok!... choć jeden rok, choć miesięcy kilka... z tobą, razem przepędzić... wróciłoby wesele i zdrowie... I szczodrze byłabym wynagrodzoną za wszystko... Tak tęskniłam... tak pragnęłam ujrzeć choć raz... choć na krótką chwilę... Trwożył mię też los Zosi... Nie miałam jej komu zostawić... Krewnym nie chciałam... Wychowaliby ją na twego wroga.. Ograniczeni i nienawidzą ciebie... Oschłe serca... Ty ją wychowasz w niedostatku, ale w otoczeniu prostem.. wśród przyrody i pracy... wyrośnie na człowieka... jak ty — czystego i niezłomnego... To dobre dziecko... ma serce i główkę... kochaj ją... Ach, znowu w głowie się mąci..

— Za dużo mówisz, wypocznij. Posłuchaj, ja opowiadać będę.

— O tak, opowiadaj! O sobie powiedz. Czyś tęsknił?... Czyś wspominał?... Czyś spodziewał się nas zobaczyć?... Co za szczęście!... gdyby wróciło zdrowie... Serce tak rwało się do ciebie!... Opowiedz, jak spędziłeś cały ten czas... Coś robił?... Czy zboże siejesz?... orzesz?.. Sam orzesz?.. Zchłopiałeś... O ty mój chłopie!... Ja też chłopką się stanę... zobaczysz... Tyle spokoju, co przy pracy na roli...

— Zboża jeszcze nie siałem... Jakuci bardzo niechętnie dają ziemię. Już od roku staram się o nią i proszę daremnie... Władza obiecała przynaglić ich...

Chora uważnie spojrzała na męża.

— Czyż to Jakuci dają ziemię, a nie rząd?... spytała.

— Owszem, rząd daje. Jam powinien otrzymać pietnaście dziesięcin ziemi zdatnej do uprawy, jako pozbawiony praw i skazany na osiedlenie. Ziemia tu uważaną jest prawnie, za własność rządową; Jakuci są tylko dożywotnimi jej dzierżawcami... ale cóż z tego: faktycznie oni nią władają i nie chcą, — rzecz prosta, ustępować...

— Czy mało mają? nie wystarcza dla nich? Możnaby przecie wziąć w dzierżawę — przekonać ich, wyperswadować... Bo cóż ty zrobisz, jeśli nie dadzą?...

— Nie jest tak źle, Juljo... Dajmy pokój... nie mówmy o tem — przerwał niechętnie. — Bądź tylko zdrowa, a wszystko się ułoży...

Julja wpatrywała się w niego z wiarą i miłością.

— Wierzę. Ty zawsze znajdziesz sposób wyjścia. Czy masz towarzysza w bliskości? Pisałeś, że gdzieś za Ałdanem. Co to za Ałdan?

— To wielka rzeka, wpadająca do Leny. Bardzo piękna rzeka. Chata moja stoi na samym jej brzegu. Najbliższy towarzysz mieszka na przeciwnym brzegu, o wiorst piętnaście. Ale on należy do innej gminy. Razem nas nie osiedlają.

— Ale widujecie się?... Widywać się wam wolno?...

— Widujemy się... niekiedy... Obecnie on u mnie mieszka... Poczciwy, bardzo poczciwy...

— A przedtem byłeś sam?

— Sam.

— Pomyśleć, serce się krwawi... całe dni słowa do nikogo przemówić!... Nieraz w myśli widziałam las śniegiem zasypany, małą chałupkę z blado migającem światełkiem wśród nocy, jak wieczność długiej, a w tej chałupce ciebie.. samego — godziny, dni, tygodnie całe... Jakżeś musiał tęsknić!... Teraz nie będziesz sam!... zakończyła, chwytając go za rękę. (C. d n.).



O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Uwagi, powyżej przytoczone, dadzą możność zrozumienia: 1) że dwa prądy, które wytwarzają spory dotychczasowe odnośnie do kwestji kobiecej, a które są tak sobie przeciwne, jak ogień i woda, nie ukształcą nigdy jednego, wspólnego dla siebie łożyska, i 2) że rozwiązanie niniejszej kwestji, tak jak i wszelkiej innej biologicznej, jest tylko możebne na

podstawie badań pozytywnych, a nie przy pomocy rojeń intuicyjnych. Otóż jedyna droga, według naszego zdania, której zawierzyć możemy w sprawie, którą się zajmujemy obecnie, jest poznanie sposobu tworzenia się osobistości męskich i żeńskich na tle rozwoju rodowo-organicznego i rodowo społecznego. Jest to więc ten sam sposób i ta sama metoda badań, któremi się posługujemy przy każdem zagadnieniu biologicznem. I tak proces rozwoju rodowo - organicznego wykazać nam potrafi prawa, na mocy których powstały osobniki płciowe w przyrodzie, a poznanie zasad rzeczonych da nam możność zrozumienia istoty tych dwóch stanów odmiennych organizmu, które męskością i żeńskością nazywamy. Następnie proces rozwoju rodowo-społecznego wyjaśni nam przyczyny, wskutek których samczość i samiczość zwierzęca przekształciły się w tę lub ową formę męskości i kobiecości ludzko-społecznej, przyczem będziemy mieli możność zrozumienia tej wielce ważnej dla nas zasady, że dalsze losy rozwoju w pewnej mierze są od nas samych zależne, bylebyśmy tylko, będąc dzisiaj świadomi praw natury, umieli postępować według ich wskazówek.

Rozejrzawszy się, o ile można dokładnie, w faktach, dotyczących obu wymienionych procesów, będziemy mogli także dać odpowiedź na pytania następujące: 1) czy obecna dążność ludzi myślących do zmiany warunków, w jakich się dziś znajdują kobiety w społeczeństwach tak zwanych cywilizowanych, jest słuszna, uzasadniona i konieczna? i 2) czy zmiana tych warunków wpłynąć może korzystnie na dalszy rozwój społeczeństw, o których mowa?

Uznawszy kwestję kobiecą za należącą wyłącznie do kompetencji biologji, jako sprawę czysto biologiczną, z tego też stanowiska rozpatrywać ją będziemy i rozpoczniemy od rozważania procesu rodowo - organicznego płciowości w przyrodzie.

Proces rozwoju rodowo-organicznego.

Rozwój płciowości, o którym mowa, wziął swój początek od wytwarzania życia, tej najwyższej czynności organizmu, i kroczył po drodze bezpłciowego płodzenia, uskuteczniając tę funkcję przy pomocy aktu samopodziału albo też pączkowania zewnętrznego i wewnętrznego. Dopiero w dalszym przebiegu rozwoju czynności rozrodczych ukształtowały się osobniki hermafrodytyczne, a z nich koleją postępu rozwojowego wytworzyły się indywidua tak zwane jednopłciowe *). Atoli proces powstawania osobników rzeczonych uskutecznił się w ten sposób, że organizmy męskie i żeńskie zachowały w sobie, obok właściwości w pełni rozwiniętych, przynależnych jednej płci, je zcze znamiona płci drugiej niedorozwinięte. Te ostatnie pozostają w zwykłych wypadkach na stopniu organów szczątkowych, przeżytkowych, a często bywają tak zredukowane, że je uważają powszechnie za zanikłe; wszelako takie wypadki, jakie obserwujemy np. u Przekopnic, u Konopi i u innych wielu gatunków, bądź roślinnych, bądź zwierzęcych, świadczą o tem, że organy szczątkowe nie bywają nigdzie absolutnie zanikłe, lecz znajdują się w stanie utajenia organicznego. Stąd też istoty tak zwane jednopłciowe uważać musimy, ogólnie biorąc, za osobniki skryto-hermafrodytyczne.

Człowiek w ciągu rozwoju osobnikowego występuje przez pewien czas swego początkowego istnienia w formie osobnika o płci niezdecydowanej, a na szalę, która ma przeważać w tę lub ową stronę, rzucają warunki zewnętrzne, dotąd bliżej niezbadane, swój miecz Brennusowy, przyczem jedna strona organizmu hermafrodytycznego, zarodkowego, rozwija się bez porównania silniej, niż druga, ale ta ostatnia nie zanika nigdy zupełnie, lecz pozostaje w formie organów szczątkowych, przeżytkowych. Widzimy tutaj, że z istoty początkowo płciowo - niezdecydowanej powstać może raz mężczyzna, drugi raz kobieta, i że tak jedna, jak i druga forma osobników płciowych, nawet na stopniu zupełnego swego rozwoju, pozostają wciąż jednak istotami skryto hermafrodytycznemi. Mężczyzna nie jest więc nigdy absolutnym mężczyzną, kobieta nigdy absolutną kobietą i to nawet odnośnie do cech pierwszorzędnych płciowych. Ontogenia (czyli rozwój osobnikowy) człowieka odźwierciedla, wprawdzie w głównych zarysach tylko, filogenię (czyli historję rodowego rozwoju) rodzaju ludzkiego, tak że w perjodzie rozwoju osobnikowego przechodzi organizm nasz takie stopnie, jakie przechodził on w trakcie rozwoju rodowego. Stąd cała nasza przeszłość filogenetyczna

*) Przed rokiem uczony naturalista, Paweł Pelseneer (Archives de Biologie 1895) wypowiedział zdanie wręcz przeciwne temu, któreśmy tu podali w tekscie, a mianowicie utrzymuje, że u mięczaków proces rozwoju płciowości inną szedł koleją, że osobniki jednopłciowe miały poprzedzać powstawanie osobników dwupłciowych. W taki sposób mięczaki stanowiłyby dziwaczny wyjątek w świecie zwierzęcym. Rozpatrując atoli szczegółowo argumenty, przytoczone przez rzeczonego naturalistę na korzyść jego hipotezy, przyjść musimy do wniosku, że żaden z nich nie jest przekonywujący, bo wszystkie one oparte zostały na powszechnie dzisiaj wprawdzie przyjętem, ale niemniej błędnem założeniu, że prostota w budowie pewnego organu u danego zwierzęcia jest oznaką bardziej pierwotnego stanu jego w stosunku do tych samych narządów o więcej skomplikowanej budowie u innych zwierząt, tamtemu pokrewnych (Wszechświat 1896 Nr. 41). [Kosmos 1896 Nr. 7. i 8. Nowe poglądy i teorje z zakresu anatomji porównawczej.)

tkwi w teraźniejszości ontogenetycznej. Na tę okoliczność zwracamy uwagę, ażeby zaznaczyć, że jeden szereg faktów potwierdza i uzasadnia pogląd, wypowiedziany przy interpretacji drugiego szeregu faktów.

W świecie zwierząt niższych dwupłciowość, czyli hermafrodytyzm zupełny, pozostaje często cechą stałą całych rzędów albo pokrewieństw, lub też występuje jako znamię, charakteryzujące pewne rodzaje albo gatunki tylko. W zakresie zwierząt wyższych, już od płazów (Reptilia) poczynając, widzimy dwupłciowość zupełną, jako zjawisko wyjątkowe, anormalne.

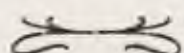
(C. d. n.)



Cenzura w Polsce

przez

Jerzego Brandesa.



(Dokończenie).

W przedpokoju — podłużnej sali — siedziało szeregami kilkuset petentów z prożbami pisemnemi. W dalszej sali, obszernej i pustej, z wielkiemi zwierciadłami i czerwonemi meblami, chodziły znakomitości miejskie, starzy senatorowie, starzy jenerałowie, prezydent cenzury, prezydent teatrów, wszyscy w uniformach i w trwożliwem oczekiwaniu. Pośrodku sali stał młody rosyjski oficer od kancelarji, adjutant Gurki, piękny i smukły; rozmawiał on z innymi Rosjanami płynnie po francusku z silnym rosyjskim akcentem, uderzał piętą o piętę, tak iż ostrogi brzęczały i ćwiczył się w figurach tanecznych — pewnie marzył o balach dworskich w Petersburgu. Przedstawiłem mu swą prożbę o uzyskanie audjencji. Odmówił mi bezwarunkowo. Godzina audjencjonalna zaczynała się o 1 godzinie, a teraz były cztery minuty po pierwszej. Na moją uwagę, że wcale nie żądam, by mię wpuszczono pierwszego, odpowiedział, że lista żądających audjencji zamyka się zaraz po pierwszej i podaje się jenerałgubernatorowi. Oświadczyłem mimo to, że nie pójdę, i chcąc postawić na mojem i dotrzeć do jenerała Gurki, usiadłem spokojnie na sofie. Wtedy przystąpił do mnie jakiś Polak z wielkim orderem na piersi i zapytał mię, czy nie jestem na liście petentów, tj. tych, co czekali w pierwszej sali. Gdym odpowiedział, że nie, przyrzekł, że mię wpisze na tej liście na pierwszem miejscu. W takim razie jenerał, skoro się załatwi z audjencjami prywatnemi i wyjdzie ze swych pokojów, zwróci się do mnie pierwszego.

Musiałem czekać przeszło trzy godziny. Wtenczas wyszedł jenerał ze swą świtą. „Paneś chciał ze mną mówić? Czego pan żądasz?“ Przedłożyłem mu swą prożbę, bym mógł w marcu mieć wykłady publiczne, gdyż luty już prawie minął. „Mais c' est tout simple“. Oświadczyłem, żem napotkał przeszkody, które dla mnie są nie do przezwyciężenia. „Któż panu zabrania?“ „Ekscelencjo, nie potrzeba zakazu. Potrzebuję tylko pozwolenia, a tego mi nie dają“. „No dobrze, to ja panu pozwalam“. „Nie uwierzą mi, jeżeli nie przyniosę przynajmniej jednego pisanego słowa od Waszej Ekscelencji. Mam tu prośbę na piśmie, adresowaną do Waszej Eksc. — oto jest“. — Gurko wziął prośbę i mój ołówek i napisał ukośnie poprzek całego papieru: „Rozkazuję. Gurko.“ Główna trudność była więc szczęśliwie usuniętą. Lecz oto okazało się niemożliwem zapowiedzieć wykłady, gdyż rosyjski tekst jeszcze nie był wrócił od Apuchtina. Dwa razy prosiłem się do niego na audjencję prywatną i oba razy otrzymałem od jego prywatnego urzędnika odpowiedź, że p. Apuchtin przyjąć mię nie może, ale wykłady moje czyta sam z największem zaciekawieniem. To zaciekawienie byłbym mu chętnie darował, wydawało mi się ono złą wróżbą.

Wreszcie otrzymałem swe wykłady. Niczego nie skreślono. Tylko kreski porobione atramentem na marginesach zwracały moją uwagę na ustępy drażliwe dla rosyjskiego poczucia narodowego, naprzykład, gdzie było napisano, że Mickiewicz wywierał wpływ na pisarzy zagranicznych, takich, jak Lamennais i Puszkin. Te kreski zdradzały wykształconego i bystrego czytelnika i musiałem uznać, że zadowolono się delikatnemi mrugnięciami tam, gdzie miano kreślić i zakazywać.

Teraz brakowało jedynie pozwolenia policmajstra hr. Tołstoja na rozlepianie plakatów. W Warszawie odczyty zapowiada się plakatami tak jak przedstawienia teatralne, a nie zapowiedziami w pismach. Rozlepianie plakatów okazało się jednak zbędnem. Całe miasto wiedziało już o mych usiłowaniach o uzyskanie pozwolenia na te odczyty, wszyscy tak byli zaciekawieni moimi wykładami o literaturze polskiej, że skoro tylko rozeszła się wieść, że pozwolenie od Apuchtina nadeszło, wszystkie bilety w liczbie 3600 (na trzy odczyty) w ciągu kilku godzin zostały rozkupione, tak że gdy rano przed pierwszym odczytem nadeszło pozwolenie na rozlepienie plakatów, okazało się ono najzupełniej zbytecznem. By dać wyobrażenie, jak się pisze i mówi pod cenzurą, dodaję tu parę przykładów z mych odczytów.

Trzeba było dać poznać słuchaczom, żem zrozumiał treść niektórych książek, mimo żem nie mógł nawet wspomnieć o nich wyraźnie. Niemożliwem było nprz. przytoczyć scenę z „Dziadów“, gdzie męczeństwo Polski porównano z mę-

czeństwem Ukrzyżowanego, ale można było o tem napomknąć. Powiedziałem więc we wstępie tak:

„Usłyszycie odemnie, jak wasza literatura z pierwszej połowy tego wieku odźwierciedla się w umyśle czytelnika europejskiego, jakie wrażenie odnosi obcy, lecz przychylnie dla was usposobiony człowiek z waszego życia umysłowego

„Jestem człowiekiem obcym, ale przychylnym dla was. Nie interes ściśle artystyczny ani intellektualny ciągnie mię do tego tematu, ale głębsza ludzka sympatja. Jest w nim coś takiego, co nie tylko zajmuje, ale chwyta za serce; nowoczesna literatura polska porusza uczucie w wyższym stopniu, niż większa część innych. Ma ona w sobie coś zamkniętego, nie łatwego do przeniknięcia. Lub lepiej: ona jest równoczeście zamkniętą i otwartą, stosownie do punktu widzenia, z jakiego na nią patrzymy. Podobną jest w tym względzie do znanego obrazu Gabrjela Maxa: Chusta Weroniki — obrazu, który pod względem artystycznym stawiam nie wysoko, bo to jest dzieło sztuczne, lecz nie dzieło sztuki, ale on wyraża dokładnie to, co mam na myśli. Na pierwsze wejrzenie zdaje się, że jest tam twarz trupia; oczy zamknięte, wyraz bez życia. Jeżeli jednak spojrzymy na obraz z odpowiedniego punktu widzenia, to twarz się nagle ożywia, oczy się otwierają i ze smętnym, poważnym wyrazem zwracają się na widza".

Wspominać wprost o rozmaitych powstaniach polskich było niepodobieństwem. Mogłem tylko wyrazić swe zdanie, mówiąc jak najogólniej o nastroju umysłowym po wielkich klęskach publicznych, po „głodach, powodziach lub nieudałych rewolucjach". Tak samo niepodobieństwem było omawiając „Króla Ducha" Słowackiego, powiedzieć wprost, że okrucieństwo, jakie tam panuje, wykonywanem było rzeczywiście przez Iwana Groźnego. Opisałem to w sposób następujący. „Jeżeli w „Królu Duchu" bohater opowiada, że mieczem przygwoździł nogę starego śpiewaka do podłogi, a ten mimo to spokojnie wypowiadał dalej swe poselstwo, to przypomina to anegdotę o Iwanie Groźnym". W tej formie zdanie to przeszło przez cenzurę dla ustnego wykładu, i nawet dla druku w feljetonach „Gazety Polskiej", dopiero dla wydania książkowego inny cenzor zdanie to skreślił.

W „Dziadach" Mickiewicza w Improwizacji Konrada jest miejsce, gdzie bohater w rozpaczy zarzuca Bogu, że „nie jest ojcem świata, ale carem." Potrzebowałem tego wiersza w mym wykładzie i chciałem sprobować bodaj napomknąć o nim. Wprost przytoczyć z „Dziadów" było niepodobieństwem, nawet podać tytuł poematu było ryzykownem. Natomiast można było mówić o Konradzie, nie podając bliżej, w jakim utworze występuje ta osobistość i przytoczyć miejsce trochę inaczej, niż brzmiało w orginale. Mogłem spekulować na bardzo niewielką znajomość literatury polskiej u cenzora. Użyłem więc takiego zwrotu: „Jak starożytni dzicy, gdy się rozgniewali na swych bożków, puszczali strzałę ku sklepieniu niebieskiemu, tak i Konrad rzuca na wszechświat potężne słowo, które zdaniem jego, rozbrzmiewać ma z pokolenia w pokolenie: „Ty, Boże, nie jesteś ojcem świata, lecz jego....

Tutaj zrobiłem pauzę kilkochwilową. Literalnie cała szczelnie zapełniona sala drgnęła. Potem padło słowo: ...»tyranem« i wszyscy odetchnęli i spojrzeli po sobie. Ani jedna ręka nie podniosła się do oklasków. Po takim ustępie panuje zawsze cisza grobowa, by nie kompromitować mówcy. Natomiast sypią się rzęsiste oklaski w kilka minut potem przy jakiemś innem niewinnem porównianiu, a najsilniejsze oklaski zachowuje się na koniec, kiedy już nikt nie może skontrolować, co właściwie wywołało ten zapał.

Wyż wspomniany ustęp należy również do tych, które cenzura puściła w odczycie i w feljetonie, a skreśliła dopiero w odbitce książkowej. Ta ostatnia cenzura trwała nie mniej jak siedem miesięcy, i moja maleńka praca wyszła z niej okropnie pokaleczoną.



Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Dokończenie).

XXX.

Te trzy doby, ten jeden spazm zgryzoty i przerażenia przed samą sobą, spędziłam wciśnięta w ciemny i zimny kąt mego pokoju. Oby najgorsi ludzie nie przeżywali nigdy chwil takich..

Jestem znękana, jak gdybym trzy dni przestała pod pręgierzem na placu publicznym, a tymczasem stałam tylko pod pręgierzem własnego otrzeźwionego umysłu i sumienia — i pod sędziowskim wzrokiem jedynego obcego człowieka... Jest to »brat« litościwy, jest to »bliźni« w całem znaczeniu słowa. Odwiedzał mię tak często w ciągu tych dni okropnych, przemawiał tak miłosiernie i tak łagodnie, i tak rozumnie. Czemu go ślepo przedtem nie słuchałam, nie szłam pokornie za jego skinieniem?! Teraz już późno... Oh, późno, późno!... Gdyby też módz zawierzyć słowom jego, wesprzeć się moralnie na ramię to szlachetne — i nic już nie boleć, nie mordować się wyrzutami. Przecież on wszystko składa na psychozę, na manję, która się rozwijała nieznacznie, stopniowo od wycieńczenia ciała, bezlitośnie traktowanego przez despotyczną mą duszę, przy ciągłym też i wielkim niepokoju i udręczeniu tej duszy, czującej mocno i głęboko. Utrzymuje

on, iż podobne natury w podobnych warunkach muszą też w końcu ulegać szczególnym pociągom i objawom w tym lub owym kierunku. Utrzymuje on nawet, że istoty, czujące zbyt subtelnie, nie powinny być używane do takich obowiązków. Najlepiej by było, gdyby pełniły je tylko ślepe, ale posłuszne, pracowite i zdrowe narzędzia, kierowane mocną ręką wytrawnego, obojętnego lekarza. Lecz właśnie w tem jest nieszczęście, że niema owego ślepego posłuszeństwa — niema też zwykle sumienia. Jest tylko fałszywa, leniwa i — podła czerń na usługach.

— Rzeźbiarz umarłby i bez tego z wszelką pewnością, suchotnik umarłby może o godzinę, o dzień jeden później. Nic więc prawie dotąd się nie stało. Proszę się nie dręczyć i nie zabijać! Ale na przyszłość zachodzi wielka obawa... podobnego nastroju — choroby. Więc... nie wiem, jak pani to przyjmie, ale według mego zdania, zdania życzliwego dla pani człowieka, a zarazem sumiennego lekarza, uważam, iż należy pani opuścić całkiem nasz szpital... i oddalić się jak najrychlej od tych warunków niemożliwych, na które pani się skazała dobrowolnie z jakichś niewytłumaczonych dla mnie pobudek... Pani tu nie powinna zostawać.. i zrobi najlepiej powracając najrychlej do Europy.

— Ależ panie, panie! powrót ten byłby dla mnie teraz wprost zabójczym! Jestem gotowa na wszystko, będę owem ślepem, posłusznem, bezmyślnem narzędziem w ręku pana...

— Zapomniałaś pani jeszcze o jednym warunku — o zdrowiu... które się wyraźnie zachwiało, to jest... nerwy... Przytem też i ten kaszel... nerwowy... Pani potrzebuje koniecznie spoczynku, leczenia.

— Doktorze! tu spocznę, tu wyzdrowieję — służyć będę, jak każesz.. pod okiem twem, pod ścisłą kontrolą.. Tylko mię nie wypędzaj, nie zdradzaj... teraz... kiedy rana szeroka otwarła się w mem sercu...

Płakałam u stóp jego prawie, błagałam go żałośnie i długo. Wreszcie się przeląkł mej wielkiej rozpaczy. Tłómaczył, złagadzał. W końcu obiecał mi dać zwłokę z warunkiem, bym czuwała w urzędowych tylko godzinach... i wzbronił wstępu do apteki.

XXXI.

I oto jestem niewolnicą Armera. Gdy każe, czuwam przy chorym, którego on sam wybiera. Gdy każe — idę spoczywać. Jestem owem idealnem narzędziem, o którem mówił mi wówczas. Ale przestałam już być dawną siostrą Anną, której wołano ze wszech stron, o którą się sprzeczano i odbierano sobie wzajemnie. Przestałam być »aniołem szpitalu«.. i wypuściłam z rąk swój kwiat paproci... z rąk poplamionych. Jestem prawie manekinem z posępnym i zmęczonym wzrokiem skazańca... przybrałam koloryt miejscowy. W manekinie tym jednak żywo i stale nurtują na przemianę dwie myśli, które mu wszystko dokoła usuwają z przed oczu i na wszystko czynią go obojętnym. Najczęściej przeważa gnębiące przeświadczenie winy, grzechu, którego niczem nie da się już poprawić... Czasem znów — rzadziej — jaśniejsza myśl zlatuje, szepcąc po cichu, że owa śmierć przyniosła ulgę cierpiącym, że zadana była ręką miłosierdzia — z wielkiej miłości dla ludzi. A więc nie była to zbrodnia, lecz obłęd, obłęd bezgrzeszny.

I stosownie do tego, która z tych myśli zwycięża, owa zgnębiona figura — albo się zgina pod ciężarem smutku, albo się wyprostowuje, rozjaśnia się na chwilę i pragnie wówczas odetchnąć swobodnie i szeroko... Pragnie i usiłuje, ale tu jeszcze jedna staje przeszkoda — uparty, coraz częstszy kaszel i coraz głębsze bóle piersi...

A!... jednakże.. czy też istotnie nie zaraziłam się przy moim biednym Włodziu?!... Toby dopiero być mogła... kara najstosowniejsza... albo raczej nagroda. Tak, według dawniejszej mej teorji — nagroda.

XXXI.

Umieram nad brzegami mej wielkiej wody niebieskiej, umieram już niewątpliwie na suchoty galopujące — zupełnie tak, jak i tamto dziecko samotne. Noce trudne, a dni... dni tych mi jeszcze żal. Każę się codzień wywozić na wybrzeże i długie godziny przesiaduję w fotelu. Czasem zadrzemię, czasem zamarzę jeszcze tak dziwnie, jasno i dziecinnie. Jesień nie gorąca, tylko cicha, przejrzysta, złota i błękitna.

I oto w dniach mych ostatnich, jako i w pierwszych dniach dzieciństwa — uczuwam wielką błogość i odzyskany spokój ducha, gdy go nie mącą ostre cierpienia fizyczne. Przypominam sobie, że potrafiłam ukochać ludzi miłością czystą aż do zupełnego zapomnienia o sobie — i że ci ludzie mię ukochali. I odzyskuję wtedy mój cudny kwiat paproci — i trzymam go już mocno, i nie chcę go już wypuścić aż do końca. *Janina Baudouin de Courtenay.*



Rozbiory i sprawozdania.

Fr. Rawita Gawroński: Ustrój państwowo-społeczny Rusi w XI. i XII. w. w zarysie. Lwów 1896.

Rozprawa p. R. znaną już jest z »Przewodnika naukowego i literackiego« — obecnie zaś wyszła w osobnej odbitce.

Autor opiera się w niej bardzo mało na analogjach z innymi ludami, przeciwnie celowo dąży do tego, ażeby odtworzyć obraz urządzeń państwowo-społecznych starej Rusi tylko na podstawie bezpośrednich — ruskich wiadomości źródłowych. Jak już tytuł wskazuje, są rozmiary pracy p. R. ściśle zakreślone po koniec XII. w. tj. obejmują okres tzw. »normandzkiej« Rusi, kiedy to jeszcze waregowie nie zupełnie zlali się z słowiańskimi tubylcami, ponadto nie można spuszczać z uwagi w ocenie tej rozprawy, iż jest ona tylko szkicem — »zarysem« i nie ma pretensji do wszechstronnego wyczerpania omawianego przedmiotu, jakkolwiek zresztą, co z góry zaznaczamy, dorzuca wiele cennych szczegółów do badań dotychczasowych w tym kierunku.

Wiele warte są między innemi obszerne marginesowe uwagi p. R. W jednej z nich np. (str. 2, uw. 3) polemizuje autor szczęśliwie z tzw. antinestorowską hypotezą, która bez żadnych pozytywnych dowodów chciałaby wytłómaczyć powstanie państwa ruskiego bez najazdu Waregów lub przynajmniej z bardzo małym współudziałem tychże. Do wywodów p. R. dodamy tyle, że hypoteza »antinestorowska« wyrosła mniej ze studjów ściśle naukowych, ile raczej z pewnego, zbędnego sentymentalizmu politycznego dla wszelkiej »swojskości« słowiańskiej, a dzisiaj opiera się ona li tylko na krytyce tzw. negatywnej mimo to, że powstanie państwa ruskiego daje się znakomicie wyjaśnić na podstawie danych pozytywnych, przyczem obok latopisu Nestora równie ważną rolę odgrywają pomnikowa: »Prawda ruska« Jarosława — tudzież wiadomości kronikarzy bizantyńskich o wędrówkach Wikingów-Waregów pod Carogród. Polemizując z anti-Nestorowcami, osobliwie zaś z prof. Dr. Hruszewskim, powołuje się p. R. na cenne dzieło Kulikowskiego i Radzimińskiego pt. »Kniaziowie i szlachta«. Szkoda, że autor znając tę rozprawę, niestety, nieukończoną, nie zaczerpnął z niej wiadomości o ustroju pranormandzkim. Co prawda p. R. sądzi, że wpływ tego ustroju na ukształtowanie się stosunków państwowo-społecznych Rusi był dość ograniczonym; występuje mianowicie tylko w organizacji »Dworów kniażych« i drużyn (wielkiej i małej); ja sądzę, że występuje on jednak także w organizacji wieców nowogrodzkich i pskowskich. Północ wogóle więcej, niżeli Ruś południowa, ulegała najazdom Waregskim, sam p. R. przyznaje, że tam głównie osiedlali się »goście« tj. normandzkie drużyny kupieckie — skutkiem tego ludność napływowa miała tutaj więcej, niż w innych okolicach Rusi, siły własnej, niezależnej od żywiołów tubylczych, mogła tedy bez obawy bronić swych praw autonomicznych wobec dowódców wojennych — kniaziów.

Staronormandzki »thing« (wiec) w Nowogrodzie i Pskowie mógł utrzymać swe znaczenie wobec samowładzy książęcej i niema żadnej koniecznej przyczyny, iżbyśmy wiece puc. republik ruskich musieli genetycznie wyprowadzać z wieców starosłowiańskich; przeciwnie sam p. R. zaznacza, że mimo wysokiej autonomji Nowogrodu i Pskowa — ludność wiejska — *ergo* czysto słowiańska była od wiecowania po miastach, a tem samem od wpływu na rządy republik wykluczoną. Tak samo — za mało — zdaniem mojem — uwzględnił p. R. wpływ normandzkiej instytucji jarlów na wytworzenie się ruskiej bojarszczyzny. Plastycznie i zdaniem mojem trafnie kreśli p. R stosunek zaborów normandzkich i ich urządzeń do podbitej ludności wiejskiej-rolniczej. Waregowie osiedli w grodach warownych bez żadnych innych początkowo celów, jak tylko dla »wybierania dani« w naturaliach lub grzywnach »kunowych«. Jeszcze Świętosław, ojciec Włodzimierza W-go zamierzał przenieść się z ziem słowiańskich do bogatszej i bliższej Carogrodu Bułgarji. Kniaź, jego drużyna i urzędnicy żyli odrębnem życiem społecznem od podbitej ludności, ta ostatnia zaś znajdowała się w stadjum urządzeń rodowo-komunalnych, a nawet rolnictwo było jeszcze więcej — pasterskiem. Dopiero rozdział ziemi między bojarów wówczas, kiedy »dwór kniaży« nie mógł już wyżywić swych wojsk z niepewnej zawsze »daniny« dał pierwszy impuls do względnego zbliżania się zaborców z podbitą ludnością. Bojarszczyzna rozprzęgała powoli ale systematycznie urządzenie komunalne gmin słowiańskich, wreszcie zmieniła je zupełnie z małymi wyjątkami na korzyść indywidualnego władania ziemią. Dawny wolny rodowiec słowiański — kmieć zamienił się pod naciskiem swych »panów« na pół wolnego »zakupa« lub zwykłego pańszczyźnianego — niewolnego chłopa: tylko t. zw. »ogniszczanie« na północy i »Smerdowie« — chłopi pochodzenia turgskiego osadzeni na dobrach kniażych posiadali pewne przywileje, wyodrębniające je z nowej masy zwykłych chłopów. Naturalnie, że i dawne rodowe urządzenia gmin słowiańskich, autonomja »starców« i wieców, — upadły lub zmodyfikowały się zupełnie, natomiast rozwinęła się po wsiach władza lokalna »tiunów« tj. ruskich wójtów, zależnych od bojarszczyzny lub bezpośrednio od kniaziów.

Rozprawa p. R. kończy się opisem ciekawych stosunków ekonomiczno-rolniczych w gminach ruskich i skreśleniem »życia domowego« na starej Rnsi. Tutaj nie wiele mamy do zauważenia, szkoda tylko, że autor za mało poświęcił uwagi praruskim słowiańskim stosunkom rodzinnym. *Dr. K. J. G.*



Wiadomości bibljograficzne.

Flaum M. dr. Wykłady o hygjenie żywienia. Warszawa 1896, w 8-ce, str. 119 i 1 nl.

Kraszewski J. Boleszczyce, powieść z czasów Bolesława Szczodrego, tom I. i II., tanie wyd. (Powiesci historyczne). Warszawa, 1896 w 8-ce, str. 153 i 143.

Urbanowska Zofja. Wojna w czasie pokoju, opowiadanie o losach szlachetnej acz wielce zawziętej dziewicy i zacnego bardzo walecznego młodzieńca, wedle zdarzenia prawdziwego spisane. Warszawa 1896, w 8-ce, str. 1 nl. i 335.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.